Rozmaitości

Dnia 23. Grudnia Nr 51. 1837 Roku.

## POŻAR.

*Rzecz wyjęta z najnowszych pamiętników jednego lekarza.*

Wielu pamięta jeszcze pożar, którym spłonął browar pana B. w Dublinie. Przy téj okoliczności wydarzył się mi przypadek, który jak sądzę, sobie podobnego nigdy nié miał i może mieć nie będzie. Mieszkam w Dublinie, gdzie lekarzem jestem. Tego samego wieczora, gdy się wszczął ów pożar, wyszedłem z domu dla odwiedzenia w kąpieli jednego pacyjenta, któremu podtenczas z wielką poświęcałem się troskliwością. Około jedénastéj godziny, czerwona łuna na niebie od północno-zachodniéj strony ściągnęła moję uwagę; zwróciwszy więc kroki moje ku téj stronie, udałem się prosto do pana B. browaru. Budowla ta była w podłużny czworobok stawiona, mająca na jednym rogu stare skrzydło zamieszkane, z drugiéj strony zaś stał zupełnie nowy, jeszcze nieskończony budynek. Gdym w to miejsce przybył, ujrzałem na obszérnym dziedzińcu tłum ludzi w największym ruchu; byłto zgiełk do nieopisania. Śród tego wiru trzy sikawki lały wodę strumieniami na dachy i w okna, przez które płomienie wybuchały. Byłato okropna walka, w któréj człowiek dla pokonania jednego żywiołu, drugiego używał. Rozlana woda na dziedzińcu wtórzyła i odbijała wrzące płomienie, a przezto raziła niezmiernie oczy blaskiem, złamanym przez poruszenie chodzących, którym aż wyżéj kostek sięgała. Dozorcy ogniowi, stojąc na sikawkach, wydawali ztamtąd przez tubę rozkazy ludziom, gaszącym ogień na dachu, którzy śród kłębów dymu całkiem z oczu niknęli, to znowu się pokazywali, podobnie spiżowym posągom, rozpalonym w ognistym piecu. Rozumié się, że ja także na ten okropny widok nie włożyłem rąk do kieszeni, ale wziąłem się do roboty, i w kilku chwilach, podobnie jak wszyscy, byłem zlany potem i wodą.

Zatrudnieniem mojém było przyłączyć się do tych, co wynosili z magazynu naczynia, napełnione spirytusami, aby się nie zajęły. Droga do tych magazynów prowadziła przez ogromną izbę, mającą kamienną podsadzkę, w któréj wmurowany był bardzo duży kocieł, używany do dystylowania. Ta izba była na pierwszém piętrze, a głębokość kotła szła aż w poziom, zkąd był ogrzéwany; u góry miał on szybę, czyli otwór na dwie lub trzy stopy w średnicy. Nad głowami naszemi była powała na belkach, idących w ścianę, która nas jeszcze tylko sama jedna od ognia rozdzielała. Już dwa lub trzy razy przeszedłem był przez tę izbę, gdy ktoś zwrócił moję uwagę, że końce belek się zajęły, że powała wkrótce spadnie, a z nią obali się i druga ściana, któréj mur nawet jeszcze nie był dobrze wysechł. Cofnąłem się na kilka kroków, w tém zawołał ktoś z drugiéj strony, abym na pomoc mu pospieszył.

Pojrzałem w górę nad siebie, powała zdała się mi jeszcze tak być mocną, żem się nie obawiał prędkiego niebezpieczeństwa. Pobiegłem tedy po drabinę, będącą po drugiéj stronie, ale zaledwo, żem tam stanął, już się z strasznym łomotem oberwała powała i spadła na mnie. Jakim ja sposobem zostałem niezdruzgotanym i nietkniętym, to Bogu wiadomo, bo ja nie umiém sobie wytłumaczyć. Gruz spadający zgruchotał drabinę w kawałki. Kłęby dymu, kurzu, płomieni zasłoniły przede mną wszelki wychód. Straciłem przytomność,

chciałem umknąć z tego pożaru, ale nowo oberwane kamienie i palące się belki zawaliły przede mną drogę. Jużem się miał śród tych ognistych kłębów za zgubionego, gdy oto nagle zapadła się pode mną podłoga, a wraz i dźwięk jakiegoś metalu obił się o moje uszy; lecąc uderzyłem nogami w metalowe ściany; wpadłem w kocieł.

Ochłonąwszy z pierwszego przestrachu: »dobrze się stało!« pomyślałem sobie; w tym wypukłym pokoju przynajmniéj nie dosięgną mnie wielkie, spadające kamienie, lub belki. Nie troszczyłem się bynajmniéj jak się ztamtąd dostanę, skoro ugaszą ogień, owszém starałem się ile możności, jak najbezpieczniéj umieścić w kotle, który za najmniéjszém mém poruszeniem wydawał dźwięk łoskotnie drżący. Siedziałem w téj bani prawdziwie jak zły duch w głębokiéj przepaści. Odtąd nic więcéj nie słyszałem nad sobą tylko trzeszczące drzewa w ogniu i łomot obrywających się murów, które spadając bryłami, toczyły się, potrącały i znowu daléj z hurkotem leciały. Byłto huk i trzask tak straszny, jak gdyby się nade mną cały świat walił. Z początku myślałem przez chwilę, że kocieł był całkiem odsłonięty, ale ognisko, w które był wmurowany, chroniło go, a z nim i mnie zarazem; ściany muru, w których spoczywał, były jego warownią. Nie mało rumowiska wpadło przez otwór na spód kotła, i to właśnie ocaliło mnie od śmierci, jak się poźniéj okaże. Nie długo trwało, a ogromny belek padł storcem na krawędź kotła; miedź ugięła się, lecz nie złamała, tylko garb wielki wgiął się wewnątrz kotła. Gdy okropny bałuch zagrzmiał w mojém miedzianém więzieniu, myślałem, że już po mnie było! Ochłonąłem z trwogi i chciałem w rozpaczy po ścianie kotła wydobyć się do góry. Daremne usiłowanie! Sciany były jak szkło gładkie! Więzienie moje miało przynajmniéj czternaście stóp szérokości, i też samę wysokość. Niepodobieństwem było dla mnie wydobyć się z tak ślizkiego grobu. Starałem się więc powziąć dokładne wyobrażenie o położeniu, w którém zostawałem; ledwiem tę myśl powziął, aliście w téjże saméj chwili zadrżała, i stęknęła ziemia, bo stare mury przetrawione ogniem, zachwiawszy się, runęły z okropnym stukiem na ziemię; większa część gruzów przeleciała po nad moję głowę. Ujrzawszy nad sobą gorejące piekło, utraciłem wszelką nadzieję i oddałem się strasznéj rozpaczy. Tlejący popieł, jak śnieg gorący, padał na moję głowę. Dla ochronienia się od gorejących głowni, spadających przez otwór w głąb kotła, przytuliłem się ciasno do ściany jego. Co chwila oczekiwałem śmierci, zamknąłem oczy, schyliłem głowę, i zgiąłem się we dwoje, dla odebrania ciosu ostatniego. Jasny, przeraźliwie jary blask ze wszystkich strón, jakby z paszczy wulkanu, wdzierających się płomieni, od których moje miedziane więzienie złocistém światłem biło, przywrócił mi na nowo zmysły.

W czasie, gdy się rozhukany pożar tak niepowściągliwie i dziko srożył, szumiało mi straszliwie i dzwoniło w sposób wyjący w uszach, a nade mną i koło mnie i we mnie wiła się taka okropna straszliwość, jakiéj ani rozum ludzki pojąć, ani pióro opisać nie zdoła. Po niejakim czasie cokolwiek się uspokoiło, a ja zacząłem myślić nad sposobem, jakby się z kotła wydobyć. Wyjeźć w górę po gładkiéj miedzi było niepodobieństwem; zdjąłem ze siebie suknie, skręciłem z nich powróz i przywiązawszy do niego ciężki kamień, cisnąłem go z całéj mocy w górę, w mniemaniu, że gdy się na krawędzi otworu zaczepi, po nim wylizę do góry. Lecz nadaremnie! Kocieł nie był wyższy od muru, w którym wisiał, i nie miał żadnego takiego miejsca, o któreby się kamień mógł zaczepić. Krzyczałem, co mi sił stało. Żadnéj odpowiedzi. Cisnąłem kamieniem w metalowe ściany mego więzienia; chrzęst okropny rozległ się w około, któryby w innym razie aż w mieście był usłyszanym; teraz tłumił się pośród stuku, trzasku i łomotu upadających belków i śród krzyku mularzy i cieśli. Starałem się ile możności uspokoić i cierpliwie oczekiwać pożaru. Potém wpadłem na myśl, że mnie może usłyszą, gdy zawołam przez kurek kotła. Dla przytknienia ust do otworu kurka, ukląkłem. Na rękach miałem grube, zupełnie wodą przesiąkłe rękawiczki, lecz gdy usta do miedzi przytknąłem, dopiero przekonałem się o téj strasznéj prawdzie, że już miedź jak ogień rozpaloną była. Jeszcze teraz nie mogę o swojém strasznem położeniu wspomnieć

bez wzdrygnienia! Nito piorunem rażony zerwałem się w górę, zacząłem w śmiertelnéj trwodze wszelkiemi sposobami wydobywać się, chciałem wyskoczyć z mego grobu — i gdyby można było, byłbym się pod samo wdarł niebo! Wołałem przeraźliwie, wrzeszczałem z wszystkich sił o pomoc, ale niestety! tylko trzeszczące płomienie odzywały się na moje jęki!

Zmordowany, uszamotany, znojem zlany, usiadłem nareszcie na kupie rumowiska i pomyślałem sobie, iż teraz przyjdzie mi w siedmiokrotnie rozpalonym, miedzianym piecu w właściwém znaczeniu tego słowa odbyć próbę przez ogień. Westchnąłem głęboko... Posunąłem ręką po czole, zimnym potem było oblane. Wyciągnąłem z kieszeni ciepłomiérz maleńki, który wziąłem był z sobą w celu oznaczenia ciepła kąpieli dla mego pacyjenta; ciepłomiérz pokazywał 40. stopień Reaumura. Przytknąłem do kotła kulę żywego srébra; żywe srébro tak szybko skoczyło w górę, żem natychmiast odjął ciepłomiérz, bojąc się, aby nie pękł. Przez niejaki czas stałem jak słup nieporuszony; potém rozpłakałem się. Pomyśliwszy o mękach, które na mnie czekały, gdy się kocieł całkiem rozpali, czego niezawodnie obawiać się musiałem, przyznam się, żem zupełnie stracił odwagę.

Słabość ta, jeżli ją tak nazwać komu się podoba, przywiodła mnie do tego, żem w modlitwie szukał siły, na któréj mi zbywało. Ukląkłem z największą pokorą, modliłem się gorąco, wzywałem Boga ze łzami z głębi méj duszy, aby się nade mną zlitował i użyczył mi siły do wytrzymania próby, na którą mnie wskazał. Błagałem go, by mnie nie zostawił na łup mojéj rozpaczy. Nie błagałem daremnie! Modły sprawiły skutek święty. Czułem, jak pociechą boską jaśniało w sercu mojém! Uspokoiłem się i nabrałem odwagi. Powstałem i spojrzałem w oczy niebezpieczeństwu.

Ciepłomiérz pomknął na 45. stopień, lecz przypomniałem sobie, że nerwy ludzkie, podług doświadczeń uczynionych przez p. Fordice i Bankes, bez znacznego uszkodzenia wytrzymać mogą przez pewny czas więcéj, niż dwójnasób większą gorącość, jak obecna była. Przypomniawszy sobie także moje własne i liczne doświadczenia, połysk nadziei ożywił znowu moję duszę.

Dziecko Larochefoucaulta było w piecu rozpalonym na 142 stopni. Sonnerat opowiada, iż w źródłach wrzących Manilles żyją ryby śród 65 stopni gorącości. Tenże sam na wyspie Luçon widział rośliny, których korzenie skrapiał potok, mający 79 stopni ciepłomiérza. Nareszcie uspokoiłem się tą myślą, że kocieł rozgrzewa się tylko powierzchnym ogniem, a że ogień coraz siły utraca, dla tego i kocieł wkrótce oziębnie. Lecz niestety! gdym ujrzał, że ciepłomiérz ciągle szedł w górę, zniknął dla mnie wszelki promień nadziei. Chciałem jeszcze wyrachować, jak gorącym powinien być kocieł, nim atmosfera będzie miała 120 stopni; gorącość tę, myślałem, że jeszcze wytrzymać mogę. Lecz zamąciło się mi w głowie, nie mógłem skończyć obrachowania. Wszelako tém ocucony, miałem jeszcze ciągle przytomność umysłu; mógłem nawet na papiérze skreślić moje uwagi, i ułożyć następujący, że tak powiém, umiejętny testament, pisany widocznie w nieodzownem oczekiwaniu śmierci, który w pierwiastkowéj, ułamkowéj postaci, podaję mym czytelnikom:

»Jestem doktor C., mieszkam przy ulicy N. Skoro kto znajdzie ten papiér, zaklinam go, niechże spieszy bez straty czasu i wyciągnie mnie z rozpalonego kotła, w który wpadłem, gdy drabina pode mną się złamała. Zginę, jeżeli spieszny nie nadejdzie ratunek! Godzina pół do pierwszéj w nocy. Prędko! prędko! (Jużem raz był napisał te słowa, i przywiązawszy papiér do kamienia, wyrzuciłem do góry; zapewne upadł w ogień.) Testament mój znajdziecie w lewéj szufladzie w mym stoliku. Grzegorz N. niechaj chowa moje papiéry. Pisma dotyczące się przygody z panem S. niechaj spali. Z przemokłych sukni moich kurzy się para. Ciepłomiérz 52 stopni.«

»W cztéry minuty poźniéj: Powietrze zaduszające. Jestem cały zlany potem. Będę pisał, ile tylko sił stanie.«

»O trzy kwadranse na piérwszą: Ciepłomiérz 55 stopni.«

»We dwie minuty poźniéj: Ciepłomiérz 60 stopni. Suknie moje suche jak próchno; całkiem ztężały.«

»O godzinie piérwszéj i pięciu minutach: Ciepłomiérz na 77. stopniu. Zdjąłem z siebie suknie i trzymam je nad głową; górne powietrze tak mocno działa na wewnętrze, że gorącość staje się nieznośną.«

»O godzinie piérwszéj i ośmiu minutach: Ciepłomiérz na 81. stopniu. Zégarek piecze mię. Zdjąłem go ze sznurka. Mój ołówek mocno gorący, a jeszcze ciało moje dość świéże; nauka o rozszérzaniu się cieplika zdaje się być mylna.« Zdjąłem ze siebie wszystko, aż do bótów.

»Trzynaście minut po piérwszéj: Ciepłomiérz 90 stopni. Szesnaście minut po piérwszéj: Ciepłomiérz 92 stopni. Nie mogę nic więcéj znieść na mojém c ele. Powietrze, którém dycham, zdaje się mi być świéższém, niż to, które połykam. Zégarek mój stanął, bo się kruszec roztężył. Ciepłomiérz 99 stopni. Płomienie nad moją głową gasną. Coraz bardziéj się zciemnia. Antaby u kotła są jak ogień czerwone. Mój Boże! Woda kipiałaby w miejscu, w którém obecnie piszę. Gdyby nie rumowisko, na którém stoję, zatlałyby suknie pod mojemi nogami. Zdjąłem ze siebie bóty; podkówki u obcasów osmaliły połę mojéj sukni. Omal nie zemdlałem ze smrodu skóry spalonéj. Dla wystudzenia, grzebię moje obcasy w rumowisko.«

Ciepłomiérz pokazuje 104 stopni. Żywcem się piekę. Moją ostatnią myślą jest moja żona i moje biédne dzieci. O Boże! Zlituj się nad niemi! Udziel jéj siły, która we mnie już znika! W tém miejscu wołu upiécby można!«

»Ciepłomiérz pokazuje 110 stopni. Na rękach moich pełno pęchérzów. Kocieł na jednéj stronie jest jak ogień czerwony. Wielki Boże! Miłosierdny Boże! Pokiżto będzie trwało! Niebawem wyschnę cały. Wszechmocny Boże! ześlij śmierć na mnie, nim padnę na kruszec roztopiony! O moja kochana —«

»Sto jedénaście stopni! Już dłużéj ciepłomiérza utrzymać nie mogę. Właśnie wypadł mi z ręku i stłukł się. Ktokolwiek znajdziesz to pismo, zanieś je do C., przy ulicy N. Poruczam je dyskrec... jego. Gorąco coraz sil... Smród kruszcu zadus... mnie. Już nie mogę pis... ołówek mnie piecz... okrop... Gorącość jeszcze straszniéj... Wnętrzności obracają się we mnie. O jakież srogie pragnienie! Oddech mój coraz cięższ... Jestem cały okryt... pęchérzami. Wszechmocny Boże! czémże ja cię obraziłem! Zlituj się, mój Boże! Zlituj się, dla miłości Chrystusa Pana! Umiéram — przebaczam wszystkim moim nieprzyjaciołom — przebacz mnie, mój Boże!«

Czułem, żem słabnął coraz bardziéj, spieszno zawinąłem w chustkę pugilares i garść rumowiska, i zebrawszy wszystkie siły cisnąłem go w górę z ognistego przybytku. Ten ruch ramieniem sprawił taką mi boleść, jak gdybym je był w kipiącéj wodzie zanurzył. Wkrótce uczułem jakąś ulgę; postrzegłem, iż to słabość zwykle zemdlenie poprzedzająca; westchnąłem z dziękczynieniem do nieba, spodziéwałem się, że umrę nim padnę na rozpalone ściany, które mnie otaczały. Wszelako znamiona te zniknęły, wystawiony byłem powtórnie na najokropniejszą walkę śmierci. Skóra na mojéj szyi, twarzy i ramionach okryta byla pęchérzami; czułem już zgubny skutek ognia w mych kościach. Krew w żyłach moich zdała się być przez wyziewy skóry i pluc wyschniętą i zniszczoną. Przypisywałem to niedostatkowi soków, że skóra moja nie zmieniła się w jeden pęchérz. Słowo turtura jest za słabe, aby niém wyrazić to, co ja cierpiałem. Buchające płomienie zgasły zupełnie i zostawiły mię w ciemności, w okropnéj ciemności, w któréj widziałem tylko połysk miedzi rozpalonéj, i już zbielonéj od strony kurka!... Straszliwa myśl przyszła mi do głowy; myśl, którą przez samego szatana byłem nagabniony, i która na dnie piekła była utworzoną... Chłodny wiatr nocny nad powierzchnią kotła, zażegł znowu gasnący płomień. W nagłym blasku płomienia ujrzałem moje zetlone suknie, na których jeszcze dotychczas stałem. Wyjąłem z pod nóg spodnie, wsunąłem rękę do kieszeni — kilka sztuk kruscowéj monety przepaliły sukno. Ach! ja nie szukałem pieniędzy — ale noża!... Wyjmuję go, otwiéram do połowy... ostrze jego piecze mnie w palce... rzucam od siebie nieszczęsne narzędzie, wołając: »Boże mój, nie dozwól, aby mię zły duch wiódł na pokuszenie!« Bóg wysłuchał modlitwy mojéj! usłyszałem nad sobą głosy, potém stąpania, które się to oddalały... to zbliżały... przyszła nareszcie pomoc!

Prawie przez sześć tygodni nie mógłem powstać z łóżka. Wiém niezawodnie, że gdy-

by się nie był stłukł mój ciepłomiérz, byłby okazał daleko wyższy stopień gorąca, niż ciepłomiérz Blagdena i Bankesa. Jeszcze tylko kilka minut dłużéj, a byłbym zginął; wytrzymałem niezawodnie większy stopień gorąca, niż jakikolwiek człowiek na świecie. Temperatura ciała mego, wyjąwszy niektóre miejsca podbrzusza, nie przechodziła nigdy 45. stopnia. Co większa, kładąc pięści rozognionych rąk moich na inną część ciała, wielkiego doznawałem ulżenia. Różnica między temperaturą ciała mego, a atmosfery, była niezawodnie ciągle blizko 96 stopni.

Dublin. Ferdynand Collet.

*(Blackwoods Magazine.)*

## OBRAZY PARYŻA.

Przez Xaw. Bronikowskiego.

XIV.

(Dokończenie.)

Hołd trwalszy, niż go moda oddać mogła, a nade wszystko umiejętniejszy i uroczystszy złożył wiekom średnim jeden z tutejszych obywateli p. du Sommerard założeniem Muzeum zabytków wieków średnich. Co po dawnéj rewolucyi ocalało, co się ukryło przed chciwém okiem tak zwanéj *bande noire*, to jest ludzi, szukających w starożytnych pamiątkach tylko wartości wewnętrznéj, i szacujących stare zamki i historyczne rozwaliny tylko jako materyjały do stawienia zakładów naukowych, wszystko to starał się p. du Somerard wyszukać, wyprosić, zakupić i w jednę całość zgromadzić. Poświęcił na to staranie całego życia, cały majątek i utworzył muzeum, jakiego nie ma na świecie, jakiegoby nawet rząd teraz założyć nie zdołał, gdyby milijony chciał na nie wydać, wiele bowiem rzeczy w tém muzeum są jedynemi egzemplarzami przeszłości francuzkiéj. Sąto dawne Puławy francuzkie, z tą różnicą, że zbiór p. du Sommerard jest wyłącznie francuzki, gdy tymczasem skarbiec nadwiślański posiadał i rzeczy postronne. Nie ma w Paryżu muzeum więcéj narodowego, więcéj francuzkiego, a jednakże najmniejsza nowość bulwarowa zdaje się zajmować więcéj Paryżanów, aniżeli ten zbiór prawdziwie francuzki. Gdyby nie cudzoziemcy, możeby na dziedzińcu pałacu, w którym się mieści, trawa porosła. Chcąc je zwiedzić, pisze się do właściciela o pozwolenie, a ten wyznacza dzień, w którym kilkadziesiąt osób razem z grzeczności jego może korzystać. Sam gmach, w którym się mieści ta galeryja narodowa, należy do historycznych pamiątek w Paryżu, i ma napis nad bramą *Hôtel de Cluny*. Gdyby nie zawiérał tyle osobliwości, już sam z siebie, byłby ciekawym starożytności zabytkiem. W czwartym wieku po Chrystusie wzniesione były w tém miejscu łaźnie, zwane *Palatium Thermorum*, szczątki stanowią część dzisiejszego gmachu. Przez kilka wieków byłato rezydencyja królów francuzkich pierwszéj i drugiéj dynastyi, a po spustoszeniu gmachu przez Normandów, mury te przechodziły z rąk do rąk. W wieku 14tym opaci kolegium Cluny założyli tu swoje siedlisko, a w wieku 17tym byłato rezydencyja nuncyjuszów papiezkich. Roku 1800 sprzedano cały ten gmach, jako własność narodową pewnemu chirurgowi; ten zrobił z dawnéj kaplicy teatr anatomiczny, a z pokojów głównych sale farmaceutyczne, resztę wydzierżawił na drukarnię, pensyję panien i t. d. Takie było przeznaczenie tych murów aż do r. 1832, w którym p. du Sommerard przeniósł w nie starożytności francuzkie, jakie posiadał, a które ciągle pomnaża. Nie podobna tu wyliczać wszystkie osobliwości, zgromadzone w tém muzeum; właściciel postanowił upowszechnić ich znajomość i zapowiedział dzieło, w którém się znajdować będą ich rysunki ze stosownym opisem. Poprzestanę tu na ogólném skreśleniu tego zajmującego zbioru. W kaplicy, która od dawna była w tym gmachu, umieścił wszystko, co w upłynionych wiekach służyło do nabożeństwa; różnica tych przedmiotów z używanémi dzisiaj w kościele, nie jest wprawdzie wielka, z tém wszystkiém są tam i sceny i rzeczy, dziś w kościołach nieznane; konfesyjonały, ławki, pastorały z 14go i 15go wieku są nierównie większe, niż dzisiejsze, jak gdyby także zaświadczały większą siłę fizyczną dawniejszych pokoleń; książę Burgundzki, cały w zbroi, klęka tam przed prałatem, siedzącym pod baldachinem ze skóry, na któréj są malowidła wyzłacane z wieku 15go; puszki, monstrancyje, krzyże, roboty bizantyńskiéj, sięgające jeszcze 9go wieku, zawstydziłyby

dzisiejszych złotników, tak niezmiennego są połysku, lubo nie są złote; hafty na ornatach, mitrach i komżach są roboty równie trwałéj, jak pracowitéj. Malowidła w téj kaplicy na drzewie przypominają równie sztukę grecką, jak artystów wieków średnich. Nie zapomniał właściciel o szkłach malowanych w oknach, o brewiarzach, książkach do nabożeństwa i starych kościelnych rękopisach. Jeden z tych rękopisów, pięknie oprawny, był własnością Henryka Walezyjusza i przypomina widocznie okoliczność, dla któréj król ten porzucił Polskę; zakochał on się był w Maryi z Cleves, właśnie w dniu jéj zaślubin z księciem Kondeuszem i właśnie wtenczas, kiedy wyniesiony na tron Polski z Francyi musiał wyjechać. Oddaliwszy się, pisywał do niéj krwią własną, a gdy tron francuzki odziedziczył, chciał unieważnić jéj śluby i podzielać z nią godność najwyższą; dla miłości téj może zaniedbał myśléć o powrocie do Polski. Wkrótce potém nastąpiona śmierć Maryi pogrążyła go w smutek, a ślady tego widać jeszcze na rękopisie, z którego zwykle godzinki odmawiał: pełno na nim plam z łez, pięknie rysowanych i malowanych czaszek, godło śmierci oznaczających i cyfer Maryi. W sali, którą właściciel nazwał pokojem Franciszka I., nawet drzwi do niéj są pamiątką historyczną; przeniesione z zamku d'Anet, mieszkania Diany, kochanki Henryka II., wymowniéj przypominają namiętną miłość tego króla, aniżeli wszelkie inne podania historyczne; są na nich dwa medaliony króla i Diany, i kiedy piérwszy uwieńczony jest tylko wawrzynem, tymczasem nad drugim unosi się korona saméj Francyi; przy zamku drzwi są księżyce, herb Diany z napisem: *Donec totum impleat orbem.* Znajdujące się w téj sali szachy kryształowe, wyobrażające turnieje, przysłał był naczelnik Arabów syryjskich w podarunku Ludwikowi Ś. Większa część innych przedmiotów, jak zbroje, łóżko z rzeźbami pracowitemi, na którém odpoczywał Frańciszek I., obrazy, należą do wieku 16go. Nie wiadomo jakim sposobem dostała się do tego zbioru szpada starożytna roboty hiszpańskiéj z rękoiścią, wyobrażającą czaplę, która pożéra węża; właściciel zapewnia, że się znajdowała dawniéj w Spandau, w gabinecie Fryderyka. Ale nie tylko rzeczy wojenne zawiéra ta sala; są w niéj także przedmioty, w czasie pokoju za Frańciszka używane, jak źwierciadło, kądziel z rzeźbami delikatnémi, zégar, lichtarze i inne sprzęty pokojowe, wszystko z wieku Frańciszka I. Horoskop pełen liczb, konstelacyj, cyfer i napisów, w téj sali będący, a może jedyny tego rodzaju astrologii zabytek, był własnością Henryka II. Przejdźmy do salonu, który właściciel umeblował sprzętami hebanowemi z wieku 16go, a niektórémi nawet z wieków poźniejszych. Bardzo stary klawikord i bióro, na którém rzeźby, złoto, srébro, kość słoniowa, perłowa macica, emalija, rzeźba i pędzel ubiegają się o piérwszeństwo, uwiezione z Holandyi, w czasie gdy Francuzi tam wojowali, są główną ozdobą tego salonu. W galeryi znajdują się dawne rzeźby i malowidła, nie tylko oddzielnie, ale także na sprzętach, na fajansach, na dywanach, nawet na skórach, któremi pokrywane były tak zwane *kufry*, używane na siedzenie, nim jeszcze krzesła weszły w zwyczaj. Wszystko-to z epoki odrodzenia. Do téj saméj epoki należą przedmioty zbytkowe, a raczéj rozmaite sztuczne wyroby, umieszczone w drugiéj galeryi. Sala jadalna przygotowana jest zupełnie do uczty: wielki stół okrągły, ogromne krzesła, talerzyki, niepokaźne łyżeczki i noże, ale niepospolitéj wielkości puhary. Właściciel kazał umieścić na suficie i na ścianach rozmaite napisy, które dawniéj istotnie w salach jadalnych na belkach, powałę podpiérających, były niezbędne. Przytaczam z nich niektóre: *Decede peritis. Sperne cibum vilem. Magna pars libertatis est bene moratus ventor. Nunc est bibendum. Natura abhorret vacuum, aut bibat, aut abeat. Non esse cupidum, pecunia est.* Ostatnią salą w tém muzeum jest pokój Henryka IV. Jak w sali Frańciszka wszystkie sprzęty należą do jego epoki, tak w téj łóżko, obicia, zwierciadła, zégary i t. p. przypominają wiek poźniejszy, w którym artyści więcéj dbali o bogactwo materyjału, niż o sztukę.

Oprócz p. du Sommerard, jest w Paryżu kilku lubowników podobnych zbiorów; i tak baron Jory i p. Sauvagest mają gabinety gotyckie, a pp. Demonville i Denon ograniczyli się szczególniéj na epoce Frańciszka I.

Ja o tych rzeczach dla tego się rozwodzę, że przenosząc myśl do kraju, ze smutkiem widzę, że nasze starożytności idą w zagubę!

---

— Ze Lwowa. —

*Tygodnika rolniczo-przemysłowego,* redakcyi Adama Kasperowskiego, wyszedł Numer 6. i 7. i obejmuje przedmioty następujące: Nr. 6. O dzierżawie. Pielęgnowanie pszczół w zimie. Wykaz kosztów do fabrykacyi cukru z buraków, podług ceny p. Schoel i Luz w Szlapanitz pod Bernem. Funt cukru za 1 1/4 kr. Fabryki cukru burakowego we Francyi. Trwałe i tanie pomalowanie drzewa. Trwałość angielskich kół wozowych. Nr. 7. Gospodarstwo domowe i fabrykacyje: opisanie mojego uprzywilejowanego narzędu (aparatu) do zgęszczenia syropów w Żurawnikach. O zaciérach bez słodu. Wiadomości czasowe: o zgromadzeniu niemieckich gospodarzy; o uprawie nawozu i użycie takowego; o uprawie roślin; technologija; o pokupności wełny; dla czego wełna spadła, i czego się spodziéwać na przyszłość?

Z Warszawy. Zaszczytnie znany uczonemu światu z gruntownéj znajomości dyjalektów sławiańskich, jak również z pism w tym przedmiocie ogłoszonych, profesor Andrzej Kucharski, wybrany został, w czasie swego pobytu za granicą, na czynnego członka towarzystwa badaczów starożytności w Halli. (G. Por.)

Z Pragi. W pismie tutejszém *Kwiaty,* znajduje się umieszczone w Nrze 47. i 48. z b. r: *Opisanie miasta Lwowa,* z podpisem *Z.* — Wyszedł z pod prasy dalszy ciąg *Słownika czesko-niemieckiego* Józefa Jungmanna, tomu III. zeszyt 4. i 5., od słowa *Przepiram* do słowa *Rozperutili.* Wyszedł także: *Sławiańskich starożytności* P. J. Szafarzyka, oddziału dziejopisowego, zeszyt VI. od str. 501 do 1005. Jestto tego oddziału zeszyt ostatni; z dodaniem napisu dzieła, przypisu hr. Szternbergowi Kasprowi, przemowy, spisu rzeczy i skróceń, str. 9. Obadwa dzieła są wydane za pomocą Matki Czeskiéj. — Téjże Matki Czeskiéj nakładem wydano *Czasopisma czeskiego muzeum* na rok bieżący, jedenastego rocznika, zeszyt czwarty. Ozdobiony 4ma tablicami kamieniorycin, przedstawiających wizerunki monet i medalów pamiątkowych panów z Rosenbergu. — Opuścił również prasę z książęcéj arcybiskupiéj tłoczni i nakładem arcybiskupiego konsystorza, *Czasopisma dla katolickiego duchowieństwa,* zeszyt III. i IV. z b. r., z tablicą szkół normalnych w Królestwie Czeskiém z r. 1835, i z ryciną kościoła katedralnego Śgo Wita w Pradze, odbitą staraniem i nakładem ks. kanonika katedral. pras. Peszyny, zacnego wspiéracza literatury i sztuk pięknych w Czechach. *A.*

Poeci litewscy. P. L. A. Jucewicz, w dziełku: *Wyjątki z nowoczesnych poetów polskich tłumaczone na język litewski* (Wilno r. 1837), umieściwszy krótką rozprawę o języku i literaturze litewskiéj, wymienia następujących poetów, piszących w litewskim języku. Oto są ich nazwy: 1) Donelejtis (zmarły r. 1780). W poemacie: *Cztery pory roku,* tłumaczonym już na język niemiecki przez Rheza (Królewiec r. 1818), okazał się prawdziwie narodowym poetą. 2) Szymon Staniewicz. Jego bajki: *Ajtwaros* i *Arklis yr Meszka* (koń i niedźwiedź) noszą, według zdania autora rozprawy, cechę oryginalności, wielkiego talentu i znajomości przyrody litewskiéj. Tenże zebrał także i wydał litewskie pieśni gminne. 3) Dyonizy Paszkiewicz (zmarły przed kilką laty). Mąż ten był jednym z najpierwszych miłośników litewskiéj literatury i najgorliwszym o chwałę języka i literatury litewsko-żmudzkiéj starownikiem. Zbiérał zewsząd troskliwie litewskie pamiątki starożytne i składał w sławnym swoim starożytnym dębie *Baublis* zwanym. (Ob: o tych pamiątkach artykuł K. Niezabitowskiego w »Dzienniku Wileńskim« z r. 1824 i dzieło Teodora Narbuta: O mitologii litewskiéj.) Oprócz mniejszych oryginalnych poezyj tłumaczył Paszkiewicz na język litewski *Eneidę* Wirgiliusza i całe życie poświęcał ułożeniu litewskiego słownika. Do poetów litewskich w tak szczupłéj wymienionych tu liczbie dodać należy i samego autora rozprawy, pa. Jucewicza, który przełożył znane balady: *Trzech Budrysów. Świteziankę, Brankę Litwina, Co mi tam?* — i na czele swéj rozprawy umieścił.

Dawność pism peryjodycznych. Jedno z pism peryjodycznych niderlandzkich: *Courant harlemski* donosi, że w r. 1837 sto lat ukończyło. Inna gazeta belgijska: *Journal de Liége* liczy lat około siedmdziesięciu pięciu. Najdawniejszą gazetą we Francyi jest *l'Etoile,* przezwana teraz *Gazette de France;* ma niemal półtora wieku. Najdawniejsze literackie pismo peryjodyczne, które w Francyi wychodziło, jest *Journal de savants,* który od 5. stycznia 1665 r. wychodzi. Najdawniejsze pismo peryjodyczne niemieckie jest Gazeta Hamburska.

Rozmaite życzenia. Bawarski dziennik *Landböthin* mówi: »Dziéwczęta nie życzą sobie w ogólności, tylko samych czcicielów; matki nie życzą sobie tylko samych prosicielów; nareszcie ojcowie nie życzą sobie tylko samych żywicielów. Potrzeba więc obiegu kilku komet, aby czciciele, prosiciele i żywiciele zbiegli się razem w jednéj osobie, to jest — w mężczyźnie. Ze stu mężczyzn, uwijających się jak motyle koło dziewczyny, jest 98 czcicielów, 1 1/2 prosicielów, a częstokroć nie masz aby jednego żywiciela!«

Otello, wódz wenecki. Pewien, opisując swoje podróże, doniósł pod dniem 18. sierpnia z Wenecyi: »W tych dniach jedliśmy obiad w tym samym domu, a może nawet i w tym samym pokoju, gdzie nieszczęśliwa Desdemona padła ofiarą zazdrości swego małżonka, weneckiego wodza de Moro. Do niego niegdyś i do jego familii, jeszcze dotychczas istnącéj, należał piękny dóm ten w Wenecyi, który teraz pod nazwą: *Hôtel de l'Europe* jest w oberżę zamieniony. Ponieważ kroniki rzeczypospolitéj weneckiéj, nadmieniające także o téj zbrodni, podług weneckiego sposobu mówienia, wodza Otella zawsze *il moro* nazywali, co oznacza także Murzyna lub Maura; dla tego Szekspir przemienił tego Włocha w istotnego Murzyna, a zatem przydatek: *il,* który w błąd wprowadził Szekspira, jest przyczyną, że aktorowie, przedstawiający Otella, twarz sobie czernić muszą.«

Ósmy cud świata. Escurial, ta pyszna budowa, którą dumni Hiszpanie, i bardzo słusznie, ósmym cudem świata zowią, ma około dziesięć tysięcy okien, siedm tysięcy kolumn, tysiąc czterysta podwoi, i tyle sal i pokoi, że klucze od nich siedm tysięcy funtów ważą.

Aktorki, które pomyślnie poszły za mąż. Z powodu śmierci księżnéj d'Alban, która pod nazwą panny Melan była aktorką, jeden dziennik wylicza wiele aktorek, które podobnie jak ona bardzo majętnie i znakomicie za mąż poszły. Na czele tego spisu stoi cesarzowa Teodora, która za nim została małżonką cesarza Justyniana, wprzódy była aktorką. Za tem świetném imieniem następują zupełnie nowe, i tak: Panna Sonntag, została hrabiną de Rossi; la sennora Sala, hrabiną de Fuentes; panna Leclerc, baronową de la Ferte; panna Wenzel, hrabiną Orłow; panna Farren, hrabiną de Derby; panna Burton, hrabiną de Cruven; panna Foote, lady Harrington; panna Monandote, małżonką niezmiernie bogatego pana Ball w Londynie; panna O'Reil, panią Belcher; jedna aktorka teatru *San Carlo* w Neapolu, poszła za pana Luchesi Palli, brata księcia Luchesi Palli. Podobne zamęścia wydarzają się najszczególniéj we Włoszech, gdzie bynajmniéj nie zadziwiają publiczność; gdy bowiem syn ostatniego doży weneckiego poślubił sobie aktorkę pannę Zerbi, tameczna publiczność uważała postępek ten jako zupełnie nienaganny.

**Spis potraw na wielkiej uczcie sułtana.** Czytamy w pismach publicznych następujący spis potraw, które były na wielkiej uczcie, danej d. 10. października r. b. dla J. C. Mości Arcyksięcia Jana i innych dostojnych gości europejskich w pałacu j.w. sułtana w Konstantynopolu. Właściwość potraw i dawanie ich w porządku następującym, może poda niejakie objaśnienia wzdlędem stanu kucharstwa i ustawienia stołów na Wschodzie: 1) Zupa. 2) Baranina gotowana. 3) Ryby. 4) Krumki z bułek z czerwonym sosem z miodu. 5) Baranina duszona z wypiekanemi ciasteczkami. 5) Kompot pigwowy ryżem mlecznym nakryty. 7) Indyki z rozmaitemi jarzynami. 8) *Ladaif* (cieniuchny makaran z miodem). 9) Siekanka pieczona. 10) Słodkie legominy pieczone. 11) Baranie kotlety z sosem cebulowym. 12) Słodkie *piurée* z bruścikiem z kury. 13) Pieczone pulardy. 14) Potrawki z ryb. 15) Kiełbaski. 16) Cielęce kotlety z truflami. 17) *Blamaże* z ryżem. 18) Słodkie knedle z ciastem maślanem. 19) *Djurmai* (duszony ryż obwinięty listkami). 20) Poncz *à la romaine*. 21) *Lakna* (smażone knedle słodkie). 22) *Frykando* z kur i kogutów. 23) *Ormankibal* (małe kawałki pieczeni faszerowanéj). 24) *Chaleba* (legomina ze smalcem i miodem.) 25) Kurczęta zaprawione miodem i truflami. 26) Masło z podlewą cukrową. 27) Pieczone kurczęta. 28) Aspik. 29) Przepiórki pieczone. 30) Torty. 31) *Blamaż* z waniliją. 32) Winogrona. 33) Sorbet wanilowy (lody). Wety złożone z rozmaitych owoców, ciast i t. d. nie były podawane, gdyż za nadejściem wielkiego sułtana, wszyscy z miejsc swych powstali. Z win dawano na stół: Sauterne, Bordeaux, Szampana, Malagę i cypryjskie.

**Krawiec panem milionowym.** Około roku 1780 powędrował jeden krawczyk, wesoły i odważny, z tłómoczkiem na plecach, sam jeden z małego rodzinnego miejsca Kippenheim pod Lahr, w Wielkiém Księztwie Badeńskiém, przez Szwajcaryję, Francyję do Anglii, w daleki świat, i nigdy już do ojczyzny nie wrócił. — Dnia 17go listopada 1832 r., pożegnał się z tym światem na francuzkich brzegach Śródziemnego Morza, w najspanialszym pałacu w Hyéres, baron Grzegorz Stulz de Ortenburg, pan milionowy. Do grobu towarzyszyli mu z udziałem wszyscy obywatele miasta, wszyscy cudzoziemcy, bawiący tamże dla użycia łagodnego powietrza, i poniósł błogosławieństwo wszystkich pierwszy raz znowu zgłodniałych i płaczących nędzarzy, nieszczęśliwych, którym on dobroczynną swą ręką łzy ocierał. Trunna jego ozdobiona była laską baronowską i orderem lwa Zeryngowskiego, a obok tych leżała skromnie — igiełka z nożycami; bowiem rzemieślnik ten i pan milionowy byli jedną i tą samą osobą. Z nieznacznego krawczyka w krótkim czasie przez biegłość i zręczność wykierował się Stulz na piérwszego i najmodniejszego artystę sukien w Londynie, a we trzydziestu latach zebrał sobie igłą i nożycami tak znaczną sumę, iż porzuciwszy swoje rzemiosło, przeniósł się do Francyi południowéj, gdzie dla pokrzepienia zdrowia swego osiadł w Hyéres jako książę spaniały. Spekulacyją pieniędzy papierowych pomnożył w dwójnasób swój majątek, przezco dobroczynności swojéj jeszcze obszerniéjsze otworzył pole. Kosciół protestancki w Marsylii, towarzystwo biblijne, studnie w Hyéres, tameczny pomnik Massylona, organy w kościele katolickim i szpital, powstały częścią własnym jego kosztem, częścią największém przyczynieniem się z jego strony. Ale nie zapomniał także i o dawnéj swojéj ojczyźnie. Rodzinnemu miejscu swojemu Kippenheim, kilkakrotnie znaczne przysyłał kwoty, już na wsparcie ubogich, już na założenie instytutów chwalebnych, mianowicie na szpital i na kościoł. Wszelako w ostatnich latach najznaczniejsze sumy darował stolicy Karlsruhe dla wsparcia zaczętych niektórych instytutów pożytecznych, zwłaszcza na instytut politechniczny, probostwo i dom siérot. Suma, z któréj się składały dary jego, wynosiła w ogóle 363,400 franków. W dowód podziękowania mu za przywiązanie do ojczyzny, wielki książę Badeński mianował go kawalerem lwa Zeryngowskiego; w rok późniéj obdarzył go szlachectwem i przesłał mu osobiście kilka razy dowody swéj życzliwości książęcéj. Dopóki tylko biédne starcy i siéroty żyć będą, i dopóki trwać będą te instytuty pożyteczne, pamięć jego nie zgaśnie.

**Strach ma wielkie oczy, ale i wielką siłę.** Następujący przypadek jest dowodem, na jaką siłę człowiek zdobyć się może, gdy idzie o utrzymanie życia. Przed kilką miesięcy mieszkancy Bostonu w Anglii, ujrzawszy na kracie u ganku wielkiego kościoła zawieszonego człowieka, wołającego o pomoc, zostali okropnie przerażonymi. Dwóch robotników poskoczyło natychmiast wschodami na wieżę, i zadawszy sobie nie mało pracy, wybawili krzyczącego z tego niebezpiecznego przypadku. Potém okazało się, iż to był urzędnik miejski, który oddając się często pijaństwu, postanowił był odebrać sobie życie; w tym celu dostawszy się ukradkiem na dzwonicę, prosto nad wielkim placem przechylił się przez kratę na dół, lecz przewiesiwszy się cały na drugą stronę i zmierzywszy okiem głębokość, stracił odwagę i uchwycił się jedną ręką prętu kraty żelaznéj. W tém okropnym stanie wisiał nad ziemią na stóp 150 przez piętnaście minut, aż pokąd nie został uratowanym.

**Margrabia de Waterford.** Gazety donosiły nie mało o tym sławnym, czyli raczéj słynnym, i majętnym Angliku, płatającym wszędzie psoty, a którego przed nie dawnym czasem w Norwegii omal że stróż nocny nie zabił. Ale lord ten ma także swoje świetne i pochwały godne przymioty, o których zamilczeć się nie godzi. Wiadomo jest między innémi, iż połowę niezmiernych swych dochodów poświęcił dla dobra swych poddanych, a co najbardziéj maluje jego dobroczynny charakter jest to, iż po większéj części w swych dobrach w Irlandyi mieszka, czego nie czyni żaden z wielkich panów irlandzkich. Tysiące Irlandczyków roniłoby łzy po jego śmierci. Młody człowiek ten jest nadzwyczaj odważnym. I tak przed dwoma lub trzema laty odbył podróż do Ameryki na swoim statku, tak małym okręcie, jaki jeszcze nigdy z Europy do Ameryki nie płynął. W téj podróży spadł mu był z głowy kapelusz w morze; lord dla dostania go skoczył natychmiast w wodę, i z wielką tylko trudnością wyratowano zuchwałego pływacza. W jednym z swoich zamków w Irlandyi miał dwa lwy ugłaskane, które się wolno przechadzały w jednym pokoju, i z któremi się zupełnie tak jak z gończemi psami obchodził. W tym roku od jednego właściciela menażeryi kupił sobie tygrysa, założył mu na szyję powróz, i przywiązawszy go do swojego powozu, pojechał z nim do domu. Téj zimy ułożył sobie popłynąć do Afryki, gdzie na lwy polować zamyśla; nie wiadomo, ażali miany przypadek w Norwegii nie odmieni mu jego zamysłu. Lord ten jest jak lew silny, ma lat dopiéro dwadzieścia i sześć, jest bardzo przystojny, młody i doskonale ukształcony. Bratem ojca jego jest marszałek Beresdorf, żyjący w poufałéj przyjaźni z książęciem Wellingtonem, a drugi brat, arcybiskupem i prymasem irlandzkim.

**Sprostowanie.** W N. 47. Rozm. na str. 175, przed. 1szej, wiér. 39m od góry, po wierszu: *Bo któż dosięgnął sławy Krytheizy syna?* dodać należy: *Już się ziemia pod wieków ciężarem ugina* i t. d.

---

*Redaktor Jan Nep. Kamiński.* *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*